

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

[MARYA TOCZYSKA]

17

— Za trzecim razem, to jest wprost nie do uwierzenia... ujrzałem go w kościele św. Piotra, gdzie byłem w towarzystwie kilku pań.

— I znikł także?

— Jak szpilka w sianie!

— Kościół św. Piotra jest duży!

— I zauważ Robercie, że nie wiedziałem, że nie wiem dotąd kto jest ten człowiek, nikt mi o nim nic nie mówił, nikt nie ostrzegł... a jednak jestem przekonany, że ten człowiek jest prześladowcą moim i Racheli. Wydaje ci się szalonym... nieprawdaż?

— Nie — odparł Robert. — Wydajesz mi się człowiekiem zrównoważonym. Takie intuicje, takie przeczucia istnieć mogą. Miałem je również.

— Ty także? A więc mnie zrozumiesz, Robercie! Ale jest jeszcze coś innego. Doświadczam czegoś dziwnego. Czy ci się zdarzyło kiedy wejść do jakiegoś miejsca absolutnie ciemnego i doznać wrażenia, że się tam ktoś znajduje. Nie widzisz nic, nie słyszysz nic, ale jednak czujesz, że nie jesteś sam. Oświadczyłem ci tego doświadczam. Czy w dzień na ulicy, czy też w nocy u siebie, jestem sam, a jednak ktoś jest ze mną. Wszędzie, o każdej porze, czuję, że „on” jest przy mnie i niewiem gdzie i na jaką odległość!

— To dziwne! to dziwne! — szepnął Robert.

— Teraz na przykład on jest niedaleko nas — ciągnął dalej Lambertini. — Czy nie słyszałeś jego głosu?

— Być może, że ja znam ten głos — odparł cichym głosem Alimena.

— Jakto? Czy to być może? Oh! mów-że... mów, Robercie! dopomóż mi do wyjaśnienia tych ciemności!

— Mój kochany — odparł szepem Robert — rozumiesz, że nie mogę ci powierzyć mojej tajemnicy tutaj, na ulicy. Ale przysiądź może, że ona ma pewną łączność z twoją.

— Doprawdy! Czyżbyśmy przypadkiem poszukiwali tego samego człowieka! — zawołał z osłupieniem Ranieri.

— Ja szukam kobiety!

— „Nie znajdziesz jej” — szepnął ktoś obok nich.

Tym razem obydwaj przyjaciele byli przekonani, że słowa te wyrzekł mały chłopiec, który przechodził właśnie z koszami pełnymi kwiatów. Ale zanim mogli doskoczyć do niego, chłopak znikł w tłumie.

Robert spojrział na przyjaciela i twarz jego pobiła się silnie!

— To coś nadzwyczajnego! — zawołał, nie panując już nad sobą.

— Wyjadę z nią... wyjadę z nią jak najprędzej — wyrzekł energicznie Lambertini.

W milczeniu skierowali się z powrotem na plac Sciazza. Zastali już tam Helianę Love, która zaczęła im dawać znaki, by się zbliżyli.

— Chodźmy na chwilę do niej — rzekł Robert. — Uspokój to nam trochę nerwy. Ta atmosfera tajemnicy dusi mnie nieznośnie.

— Masz słuszość. Zresztą żyjemy jeszcze... nieprawdaż? — zaśmiał się nerwowo Lambertini. Wróg nasz nie tak prędko zdoła się nas pozbyć.

— „Prędzej niż się wam zdaje” — szepnął ten sam głos w przelocie.

Tym razem zdawał się płynąć z balkonu, na którym pełno było młodych dziewcząt i kobiet, rzucających kwiaty na ulicę.

— Nie myślimy już o tem! Nie myślimy! —

wyrzekł z niecierpliwością Robert. — Chodźmy do Heliany.

Aktorka przyjęła ich z miłym uśmiechem, kiedy niespodzianie wskoczyli do jej powozu i nie przerywając walki kwiatowej, zaczęła rozmawiać z nimi z ożywieniem, wybuchając co chwila wesołym śmiechem.

— Dlaczego zakryłaś twarz welonem? piękna Heliano! — zapytał Robert. — Pozbawiasz nas najpiękniejszego widoku na świecie.

— Lękam się o swoje oczy! — odpowiedziała znacząco.

W tej chwili przejeżdżał obok nich powóz hrabiny Loredana. Leżała niedbale wsparta o poduszki, z wyrazem zmęczenia w ciemnych oczach. Dostrzegła jednak przyjaciół i unosząc się cokolwiek, zawołała donośnie:

— Zdraycy! jesteście zdraycy! Musicie mi zapłacić za to! Hrabio Alimena oczekuję pana u siebie jutro wie zorem!

— Kto jest ta bezczelna kobieta! — zapytała Heliana rozgniewana.

— Dama.

— Ale jaka?



Obok kobiety siedziała mała istota, owinięta w czarne domino.

— Dama, moja kochana.
— W każdym razie bardzo źle wychowana.
— Być może!

— W którym z was jest ona zakochana? — zapytała Heliana, spoglądając z rozdrażnieniem na obydwu młodych ludzi.

— W obydwóch! — zaśmiał się Robert.

— W obydwóch! — powtórzył Ranieri, wybuchając śmiechem.

— Zarozumiały!

— Ty także Heliano, kochasz nas obydwóch... nieprawdaż? — zaśartował Robert.

— Ja? Ani mi się śni! — zawołała obrażona, odwracając głowę.

— No, no, nie daj się kochana przyjaciółko! — uspokajał ją Ranieri.

Przejazd powozów stawał się już teraz coraz powolniejszy. Na ulicach zapalano latarnie, podczas kiedy po balkonach rozbrzysły gnienie gdzie ognie sztuczne. Deszcz kwiatów ustał, od czasu do czasu tylko padł już zwiednięty kwiat na zabrudzony chodnik i leżał wśród prochu i szczątków różnorodnych papierów.

Za każdym razem kiedy powozy jadąc w defiladzie dojeżdżały do końca Corsa, na placu ludowym, musiały okrążyć obelisk, aby z powro-

tem pójść za biegiem właściwym i wówczas natłoczenie ekipaży stawało się tak wielkie, że musiały one zatrzymać się na chwilę, aby nie spowodować wypadku. Teraz jednak pod wieczór natłok nie był już tak silny i powozy zatrzymywać się nie potrzebowały.

Viktoria Heliany Love, w której znajdował się Robert z Ranierim, zatrzymała się również tylko na krótką chwilę przy fontannie. Widok tu był wspaniały.

We wszystkich powozach rozpalono ognie sztuczne, paliły się one również na trybunach i na placu publicznym, rzucając różnokolorowe refleksy na mury kamienne, wodę fontanny i drzewa parku Pencio.

— Oh! jakie to ładne! — zawołała Heliana, stojąc w powozie, bijąc w ręce jak rozbawione dziecko.

W tej chwili powóz zaprzągnięty w dwa konie wyjechał z bramy ludowej, od strony willi Borghese, lub też z przedmieścia Rzymu.

Powóz ten przejechał tuż obok wiktoryi Heliany Love. Siedziała w niej kobieta, a właściwie cień kobiety, owinięta w długą, białą suknię, ułożoną w fałdy jak starożytna tunika. Obszerny płaszcz, również biały, bez rękawów, zarzucony był na tę suknię. Biały kaptur wełniany okrywał całą głowę, pod szyją zaś wstążka jedwabna, związana w duży węzeł, kryła cały dół twarzy. Jedne tylko oczy widniały za ledwie z poza maski czarnej, ściśle przylegającej do skroni.

Obok kobiety siedziała mała istota, owinięta w czarne domino. Nie było można odgadnąć czy to była kobieta, czy mężczyzna. Istota ta wydawała się ułomna. Czarny kaptur i maska czarna zasłaniały również twarz całą.

Stangrel, siedzący na koźle, ubrany był w liberyę niebieską, z złotymi wyszywkami, bardzo elegancką i bogatą. Konie zaś były wielkiej wartości, rosłe i rasowe. Powóz w dosyć szybkim tempie przesunął się obok wiktoryi Heliany.

Młoda kobieta spojrzała w tę stronę i zawołała ze zdziwieniem:

— Patrzcie na tę kobietę, moi przyjaciele! czy nie podobna ona do widma!

Obydwaj młodzi ludzie zadrżeli mimowoli. Wychylił się z powozu, ale za ledwie mogli dojrzeć biały płaszcz, migający się w oddali.

Robert spojrział znacząco na przyjaciela, lecz nie wyrzekł ani słowa.

— I jak zazwyczaj, mały, wstrętny mąż, obok wysokiej, pięknej kobiety — wyśmiewała się Heliana —. Brzydki i może garbaty.

— Naprawdę? — wykrzyknął Robert Alimena, nie mogąc się dłużej powstrzymać.

— Tak, tak, tak bywa zwykle! — zaśmiała się wesoło Heliana Love.

Raz jeszcze odwrócili się szybko,

aby ujrzeć tajemniczą parę, ale by o to już niemożliwe. Powóz widma, jak mówiła, śmiejąc się Heliana, nie znikł jeszcze, tylko złączył się z defiladą, ciągnącą się z placu ludowego do placu weneckiego i na razie nie mógł być widocznym, bo był zasłonięty innymi powozami.

— Heliano!

— Co takiego Robercie!

— Musimy koniecznie dowiedzieć się, kto jest w tym powozie.

— Co to, mój kochany? awanturka? — zapytała podrażnionym głosem.

— Nie, nie, Heliano. Rzecz może bardzo poważna.

— Dla ciebie Robercie?

— Dla mnie i dla Ranieri'ego.

— Pojedynek?

— Nie zadawaj mi pytań, bo nie mogę ci na nie odpowiedzieć. To nie są żarty, zaręczam ci. Starajmy się dopędzić ten powóz.

Wszyscy troje, zmieszani trochę, powstali z siedzeń, by porozumieć się ze stangrelem.

(Ciąg dalszy nastąpi).